

Adam Bień, Czesław Jaworski

Z ministrem RP Delegatury Rządu na Kraj; sędzią, adwokatem, działaczem społecznym i politycznym, jednym z "szesnastu", pisarzem i tłumaczem literatury pięknej, Adamem Bieniem - rozmawia Czesław Jaworski

Palestra 35/5-7(401-403), 3-17

1991

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z ministrem RP Delegatury Rządu na Kraj; sędzią, adwokatem, działaczem społecznym i politycznym, jednym z „szesnastu”, pisarzem i tłumaczem literatury pięknej, ADAMEM BIENIEM
- rozmawia Czesław Jaworski

CZESŁAW JAWORSKI:

-Jechałem trasą podaną przez Pana: Warszawa, Radom, Ilża, Opatów, Lipnik, Klimontów, Łoniów, Osiek, Ossala. Trasą, którą wielokrotnie Pan pokonywał w swoim życiu. I oto jestem w Ossali, we wsi tak pięknie, wzruszająco, z wielką miłością opisaną w Pańskich książkach. Stare wiązy, akacje. Rody Bieniów, Wiącków, Lechów, Jędrzejów. Przyroda i ludzie. W tej Ossali, z której wyruszał Pan na spotkanie wielkich wydarzeń Historii, aby być ich uczestnikiem, świadkiem i obserwatorem... Do tej Ossali, do której Pan wracał po spokój, siłę i błogosławieństwo.

ADAM BIENIŃ:

-Akacje sadził jeszcze mój ojciec, który w roku 1894 objął gospodarstwo. Przed nim, bo od 1853 r. był tu mój dziad. Ja urodziłem się w 1899 r. Ze starych wiązów pozostało już chyba tylko jedno drzewo, w naszym siedlisku, które widać z tarasu, a gdzie gospodaruje syn mojego brata Józefa. Do wsi rodzinnej wracałem zawsze z wielką radością. W roku 1920 najpierw po zdaniu matury, a później w listopadzie, po zwycięskiej batalii w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1925 r. jako świeżo upieczony magister prawa po studiach w Uniwersytecie Warszawskim. Nie licząc przyjazdów wakacyjnych i okazjonalnych, na dłużej wróciłem w 1949 r., bezpośrednio po procesie



w Moskwie. Mój ostatni powrót, i jak sądzę już na zawsze, nastąpił w 1975 r. Rzeczywiście wracałem tu po spokój, siłę i matczyne błogosławieństwo. Było to mi bardzo pomocne. Odnosiłem zawsze wrażenie, że w moich rodzinnych stronach panuje większa harmonia pomiędzy ludźmi oraz pomiędzy człowiekiem i przyrodą.

- Panie mecenasie! Proszę pozwolić mi na taką formę zwracania się do Pana. Przez kilka lat miałem kontakt z Panem jako adwokatem. Pan wówczas

praktykował w zespole adwokackim w Przasnyszu, a ja byłem członkiem Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie. Byliśmy członkami tej samej Izby Adwokackiej.

Zauważyłem, że najmniej wywiadów udzielił Pan prasie prawniczej, a w „Palestrze” w ogóle nie było żadnej rozmowy...

- Przeważnie rozmawiałem z tymi, którzy tego chcieli.

- To prawda, ale nasze środowisko odczuło niedosyt, a nawet żal.

- Bardzo chętnie podzielę się moimi przeżyciami i doświadczeniami. Mógłbym nawet spotkać się w Warszawie, czy gdzie indziej, z adwokatami i aplikantami adwokackimi. Oczywiście, jeżeli na takie spotkanie zostaną zaproszeni. Do Warszawy przyjeżdżam często, odwiedzam córkę, znajomych.

- Znakomity pomysł. Myślę, że zainteresuje się nim Klub Seniora Adwokata w Warszawie, który organizuje spotkania z bardzo ciekawymi ludźmi.

- Będę oczekiwał zaproszenia.

- Nieczęsto się zdarzało, aby prawnik odgrywał jednocześnie aktywną i znaczącą rolę w życiu zawodowym, politycznym i kulturalnym. Pan jest oczywistym zaprzeczeniem takiego poglądu.

- Przepraszam. Pan jest dużo młodszy ode mnie i sądzę, że odnosi Pan tę uwagę do lat 50., 60., 70. i 80. naszego wieku. W drugiej Rzeczypospolitej, a nawet w czasie okupacji, prawnicy byli wybitnymi działaczami politycznymi. Zapisali niejedną złotą zgłoskę w rozwoju kultu-

ry. Tak było i jest na całym świecie. Jestem przekonany, że tak będzie i u nas.

- Ja również w to wierzę. Ale musimy nawiązać do najlepszych wzorów. Jak przebiegała Pańska kariera? Rozpocznijmy może od kariery zawodowej.

- Po zdaniu egzaminu sędziowskiego w sierpniu 1928 r. rozpocząłem pracę w charakterze asesora w sądach grodzkich w Grodzisku Maz. i Żyrardowie. Przez pewien okres powoływany byłem do składów orzekających w VIII Wydziale Sądu Okręgowego w Warszawie. To był Wydział, w którym rozpoznawane były najpoważniejsze sprawy karne, m.in. polityczne. Zetknąłem się tu z najznakomitszymi i bardzo sławnymi sędziami. Kiedyś zasiadałem w składzie z sędzią, niestety nazwisko wyleciało mi z pamięci, który sądził Witosa w tzw. procesie brzeskim. Złożył zdanie odrębne.

- Pan sędzia Leszczyński. Mimo zdania odrębnego, w tak ważnym procesie, awansował do Sądu Apelacyjnego.

- Tak, tak, sędzia Leszczyński. Spodziewałem się, że on tak postąpi. Poznałem jego poglądy, zaprzyjaźniliśmy się. On za bardzo szanował prawdę, prawo, sprawiedliwość, honor, aby mógł się sprzeniewierzyć tym wartościom nawet w tak poważnym i głośnym procesie politycznym. W Sądzie Okręgowym występowali wybitni adwokaci i prokuratorzy. Kontakt z tymi ludźmi był najlepszą szkołą prawa i życia.

Pełnym sędzią mianowany zostałem w marcu 1929 r. i powierzono mi także obowiązki kierownika sądu grodzkiego w Grójcu. W 1930 r. przeniesiono mnie do sądu grodzkiego w Warszawie, a w 1938 r. otrzymałem nominację na stanowisko sędziego Sądu Okręgowego w X

Wydziale Cywilnym w Warszawie. I na tym stanowisku ostatnią sesję odbyłem 1 sierpnia 1944 r. Sesja rozpoczęła się o godzinie 10, była bardzo krótka, trwała do godziny 12, a 30 minut później znalazłem się przy ul. Elektoralnej. Mieliśmy umówione spotkanie z wicepremierem Jankowskim. Tu dowiedziałem się, że dziś, tj. 1 sierpnia, w godzinach popołudniowych wybuchnie w Warszawie powstanie. Wcześniej o dacie wybuchu powstania ani ja, ani pozostali ministrowie, panowie Stanisław Jasiukiewicz i Antoni Pajdak, nie wiedzieliśmy. Właśnie wtedy wicepremier Jankowski bardzo uroczysto oświadczył, że na czas powstania całą cywilną władzę w Delegaturze przekazuje w moje ręce. On, jako delegat rządu, oraz Kazimierz Pużak, jako przewodniczący Rady Jedności Narodowej, udają się do kwatery komendanta AK. Ja mu powiedziałem, że jestem tym zaskoczony i w jakimś stopniu przerażony. Uważałem, że nie byłem do tego przygotowany organizacyjnie. Na dłuższą dyskusję nie było czasu. Musiałem przystąpić do działania. Na szczęście, odnalazła się moja łączniczka „Bogna”. Przy jej pomocy, rykszą, przewiozłem niezbędne materiały z dotychczasowego mojego lokalu konspiracyjnego znajdującego się przy ul. Miodowej 14 - tu ciekawostka, vis-à-vis tego lokalu miał siedzibę Sąd Okręgowy przy ul. Miodowej 15 - do nowego lokalu przy ulicy Kruczej nr 17. Ten lokal stał się siedzibą Delegatury Rządu. Tu urzędowałem ja i pozostali dwaj ministrowie.

- Jeżeli Pan pozwoli, to do tych wydarzeń jeszcze powrócimy. Kiedy ponownie znalazł się Pan na sali sądowej w polskim sądzie?

- Dobrze, że uczynił Pan zastrzeżenie „w polskim sądzie”. Po powrocie z Moskwy zgłosiłem się do swojego dobrego

znajomego z dawnych lat, Tadeusza Reka, który był wiceministrem sprawiedliwości. Uważałem, że będę mógł kontynuować karierę sędziego. Wiceminister bardzo się wystraszył. O pracy w sądzie nie mogło być mowy. Wróciłem do Ossali. Zająłem się tłumaczeniem literatury rosyjskiej. Ten okres, obejmujący lata 1949-1953, to był dobry czas w moim życiu, bo zajmowałem się pisaniem. Przetłumaczyłem 14 książek. Bardzo się wykształciłem pod względem literackim. Odkrywałem na nowo piękno słowa, urodę stylu. Miałem już za sobą całą epopeję polityczną, ale ciągle byłem na indeksie. Nigdzie nie wolno było wiązać mojego nazwiska z moją poprzednią działalnością polityczną. „Adam Bień” nie mógł mieć żadnej przeszłości. Pod koniec roku 1953 wpisany zostałem na listę adwokacką i rozpocząłem praktykę w zespole adwokackim w Przasnyszu.

- Cieszył się Pan, jako adwokat, wielkim uznaniem. Słyszałem, że klienci, szczególnie chłopci, ustawiali się w długie kolejki.

- To było tak. Jak tylko zjawiłem się w Przasnyszu, to o tym dowiedziała się Wolna Europa i natychmiast wiadomość tę opublikowała. Nasi chłopci, którzy słuchali tej radiostacji, dowiedzieli się, że jestem w Przasnyszu. Po prostu na ulicach ludzie mnie zaczepiali i po cichu tak śmiesznie pytali: „panie, panie, czy pan to jest ten, o którym mówili?” Nie wymieniali nawet nazwy radiostacji. Wiadomo było, o co chodzi. Wolna Europa zrobiła mi najlepszą reklamę. Później trudno było mi się opędzić przed wszystkimi zgłaszającymi się. Z praktyką adwokacką skończyłem 31 grudnia 1974 r. A wie Pan dlaczego? Nie, nie było żadnych powodów politycznych. Nie wytrzymywałem już napięcia psychicznego. Ciągła walka z sędziami, z organami administracji, z przeciwnikami procesów

wymi. Troska i odpowiedzialność za los każdej przyjętej sprawy, za los człowieka, rodziny. A ludzie ciągle oczekiwali na skuteczną pomoc. Powiedziałem sobie: „dosyć tego”. Wracam do domu, to znaczy do Ossali. Dobry adwokat to nie tylko wiedza, sumienność, serce, ale również pełna koncentracja i odporność psychiczna.

- Po rozstaniu się z praktyką adwokacką powrócił Pan do pisania.

- W czerwcu 1975 r. rozpocząłem pisanie mojej pierwszej książki „Bóg wysoko - Dom daleko”, chociaż materiały zbierałem już od bardzo dawna. Obejmuje ona lata 1900-1920. Następna książka „Bóg wyżej - dom dalej” jest kontynuacją tego, o czym piszę; przedstawiłem moje przeżycia i moje poglądy związane z latami 1939-1949. Pomiędzy tytułami zachodzi ścisły związek. Pierwszy stanowi powiedzenie mojego ojca, rolnika, który zawsze mówił: „Bóg wysoko - Dom daleko”, jak znalazł się w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Bóg jest tym, który może pomóc, ale jest wysoko - nadto daleko. W tej drugiej książce Bóg był jeszcze wyżej, a dom jeszcze dalej.

- Po przeczytaniu obu Pana książek doszedłem do przekonania, że musiał Pan porzucić praktykę adwokacką, aby skoncentrować się na drugiej Pana pasji - pisarstwie. Pisarstwie historycznym. Pan musiał zdać sprawozdanie z tych wszystkich wydarzeń. O nich chciałbym teraz z Panem porozmawiać, chociaż może to być już dla Pana nużące i męczące.

- O nie! Nigdy nużące. Czy męczące - ciągle rozmawiam, udzielam wywiadów, piszę. Muszę Panu wyznać, że mam poczucie pewnej misji, którą powinienem ciągle spełniać. Może to, co po-

wiem, wydawać się nieskromne. Uważam siebie za świadka i uczestnika historii. Jestem rzadkiego typu człowiekiem. Po pierwsze - dużo widziałem i w wielu wydarzeniach brałem bezpośredni udział. Po drugie - jestem na tyle wykształcony, że wiedziałem, co spostrzec i co zapamiętać. Po trzecie - fizycznie i intelektualnie byłem w stanie to wszystko zapamiętać. I po czwarte - potrafiłem to jakoś opisać.

Traktuję to jako swoją powinność. W procesie moskiewskim najbardziej zagrożonych było nas pięciu: Okulicki, Jankowski, Jasiukowicz, Pajdak i ja. Z tej piątki wróciło nas tylko dwóch - ja i Pajdak. Wiele razy mówiono mi: „dziękuj Bogu, że żyjesz”. Przypomina mi się rozmowa z dawnym moim przyjacielem, który po wojnie stał się komunistą. Kiedy załamał się, że tak długo i bezprawnie siedziałem w sowieckim więzieniu, on odpowiedział: „nie ważne, że tak długo siedziałeś, ale ważne, że wróciłeś”. Skoro wróciłem, postanowiłem opowiadać.

- W latach 20-tych rozpoczął Pan działalność w ruchu chłopskim.

- Tak, ale ja należałem tylko do „Wici”. Nie byłem członkiem żadnego ze stronnictw ludowych.

- Wobec tego, jak to się stało, że nie należąc formalnie do stronnictwa ludowego, został Pan powołany, jako przedstawiciel tego stronnictwa, na stanowisko ministra w Delegaturze Rządu?

- Sądzę, że złożyło się na to wiele przyczyn. Mimo tragicznego finału kampanii wrześniowej wierzyłem niezłomie, że Niemcy wojnę przegrają z kretelem. Wierzyłem, że Polska odzyska niepodległość i będzie silnym państwem. Uważałem, że Polacy, nie bacząc na po-

niesioną klęskę, powinni stworzyć wizję takiej Polski. Rozpocząłem pracę od siebie. W pierwszą, mroźną zimę wojenną napisałem pracę, a może lepiej szkic na temat: „Jaka ma być Trzecia Polska”. Dowodziłem, że ustrój Polski powinien być oparty na trzech zasadach: wolności człowieka, sprawiedliwości społecznej, dobrobycie. Szerzej temat ten przedstawiłem w książce „Bóg wysoko - Dom daleko”. Ten szkic czytałem działaczom różnych stronnictw politycznych, później przekazałem Józefowi Grudzińskiemu, który miał go zawieźć do Londynu. Z rozmów, jakie przeprowadziłem z szefem BiP-u płk. Janem Rzepeckim, zorientowałem się, że i on czytał tę pracę. W lutym 1940 r. nawiązałem kontakt z organizacją konspiracyjną „Rocha”, a nieco później z organizacją inteligencji ludowej „Orka”, która wydawała pismo o tej samej nazwie. Latem 1941 r. Józef Domański, z kierownictwa „Rocha”, zlecił mi powołanie Komisji Prawnej Ruchu Ludowego. Tak się właśnie nazywała, a w jej skład weszli adwokaci Józef Faliński, Stanisław Piotrowski, Tadeusz Rek oraz samorządowiec Piotr Tybiak. Komisja opracowała podstawowe zasady ustroju prawnego przyszłej Polski Ludowej. W marzeniach chłopskich Polska powinna być „ludowa”, tzn., że „lud” powinien stanowić o jej bycie, co nie miało nic wspólnego z Polską Ludową realnego socjalizmu. Oni przywłaszczyli tylko nazwę. Ponadto ludowcy nie mieli za wielu ludzi, którzy by się nadawali do objęcia poważnych stanowisk politycznych w państwie. W okresie okupacji zasadniczą rolę w konspiracyjnym ruchu chłopskim odgrywali „wiciarze”. W trzy-osobowym podstawowym kierownictwie dwaj to „wiciarze” - Józef Grudziński, Józef Niećko, a ze starszego pokolenia Stanisław Osiecki. „Wiciarze” byli ludźmi stosunkowo młodymi i świetnie nadawali się do konspiracji.

- Z Pana wspomień wynika, że największym uznaniem z tej „trójki” obdarzał Pan Józefa Grudzińskiego.

- Józef Grudziński był wspaniałym, energicznym, odważnym działaczem. Zginął w pierwszym dniu powstania.

- Rozumiem, że te okoliczności, o których Pan opowiedział, miały istotne znaczenie.

- Po aresztowaniu Jana Piekalkiewicza, ludowca, delegata rządu na kraj, na jego miejsce wszedł jego dotychczasowy zastępca Jan Stanisław Jankowski. Delegatura Rządu na Kraj miała być polityczną reprezentacją czterech głównych stronnictw polskich: Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego, Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Pracy. Józef Grudziński oświadczył mi, że Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego postanowiło zaproponować mi objęcie stanowiska ministra w krajowym podziemnym rządzie państwa polskiego. Poprosiłem o kilka dni do namysłu. W maju 1943 r. Prezydent RP Władysław Raczkiewicz powołał mnie na urząd ministra i jestem nim do dnia dzisiejszego...

- ... bo nikt Pana nie odwołał?

- Nikt nigdy mnie nie odwołał. Muszę Panu wyznać, że przeżyłem niemiłe rozczarowanie w ostatnim czasie, a konkretnie w czasie przekazywania insygniów władzy na Zamku Królewskim przez pana Kaczorowskiego panu Wałęsie. Wtedy kiedy oni się spotkali, kiedy spotkały się dwie Polski, sądzę, że ja również powinienem tam być. Jestem symbolem Polski Walczącej w kraju, gdy ważyły się losy narodu i państwa. Połączenie tych dwóch Polsk powinno nastąpić z moim udziałem, a w każdym razie w mojej obe-

ności. Nie otrzymałem nawet zaproszenia na tę wielką uroczystość.

- Jakie agendy podlegały Panu jako ministrowi Delegatury Rządu?

- Mnie podlegały departamenty: sprawiedliwości, oświaty i kultury, Komitet Koordynacji Ustawodawczej i Komisja Wschodnia.

- Może kilka zdań o Komitecie Koordynacji Ustawodawczej i Komisji Wschodniej, bo to były gremia, o których bardzo mało się mówiło.

- A miały wówczas istotne znaczenie. Tocząca się wojna zachwiała podstawami ustrojowymi Polski. Nowe sytuacje wymagały nowych uregulowań prawnych na czas odzyskania niepodległości oraz na dalszą przyszłość. Pracowały nad tym wszystkie organy Delegatury Rządu, a przede wszystkim departamenty: Likwidacji Skutków Wojny, Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości, Rolnictwa, Oświaty i Kultury, Pracy i Opieki Społecznej. Komitet Koordynacji Ustawodawczej pomyślany był jako ośrodek koordynujący, a jego zadaniem było porządkowanie, systematyzowanie i usuwanie sprzeczności przygotowywanych aktów normatywnych. Ogrom pracy spowodował, że powołałem Biuro Ustawodawcze Delegatury Rządu, a na jego stałego sekretarza - sędziego Tadeusza Szymańskiego, wybitnego prawnika, byłego pracownika Departamentu Ustawodawczego Ministerstwa Sprawiedliwości. Tworzyliśmy prawne podstawy ustrojowe przyszłej Polski. Część tych prac opublikowaliśmy w Dzienniku Ustaw (część III, nr 1 i nr 2), wydany w sierpniu 1944 r. w walczącej Warszawie. Do dziś - jak jakieś relikwie - przechowują te historyczne Dzienniki Ustaw.

Sprawami Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej zajmowało się kilka komórek polskiej konspiracji: Komisja Wschodnia przy Delegaturze Rządu, Biuro Wschodnie działające w Departamencie Spraw Wewnętrznych, Departament Informacji Delegatury oraz Biuro Informacji i Pracy (BiP) Komendy Głównej AK.

Komisja Wschodnia miała podjąć próbę rozwiązania spornych problemów skłóconych ze sobą narodów. Jej organem była tzw. Rada Narodowościowa, do której, jako przedstawiciele stronnictw politycznych, wchodził adwokat: Stanisław Piotrowski, ludowiec (późniejszy oskarżyciel w procesie norymberskim) oraz Stanisław Zieliński ze Stronnictwa Narodowego. W charakterze organu wykonawczego powołano Biuro Narodowościowe z prof. Władysławem Tomkiewiczem na czele, który w krótkim czasie zorganizował odpowiedni aparat zbierający informacje o sytuacji na kresach, oraz wydający specjalny periodyk pod nazwą „Biuletyn Narodowy”.

- W bardzo ogólnym ujęciu, jakie to miały być prawne podstawy ustrojowe Polski, wypracowane przez Komitet Koordynacji Ustawodawczej czy Komisję Prawną Ruchu Ludowego?

- Zakładaliśmy koncepcję trójpodziału władzy, koncepcję przyjętą zresztą w konstytucji marcowej z 1921 r. Władza w państwie powinna należeć do narodu, a w imieniu narodu władzę sprawują: sejm i senat, prezydent RP, rząd i sądy. Żaden z tych organów nie włada innym. Polska nie powinna być państwem narodowościowo mieszanym, bo nie może panować nad żadnym innym narodem wbrew jego woli.

- Czy tamta wizja odpowiada aktualnym propozycjom organizacji ustro-

ju państwowego, przedstawionym w projektach komisji konstytucyjnej Sejmu i Senatu.

- I tak, i nie. Otrzymałem właśnie projekt komisji senackiej. Mam sporo zastrzeżeń. Spróbuję je przedstawić w formie pisemnej. Posługujemy się tymi samymi nazwami poszczególnych organów. Jednak różnice są. I niejednokrotnie znaczne. Np. rola i uprawnienia prezydenta, organizacja i kompetencje senatu. Ale postulowaliśmy, aby prezydent był wybierany przez naród w głosowaniu powszechnym, bezpośrednim, tajnym. I to się już stało.

- Wielkie znaczenie przypisywał Pan sądownictwu - jednej z trzech równorzędnych władz oraz doborowi odpowiednich ludzi na stanowiska sędziów.

- Sądy powinny być w pełni niezależne, niezależne i podlegać tylko ustawom. Nie mają prawa badać ważności ustaw należycie ogłoszonych. Powinny jednak badać ważność rozporządzeń rządu oraz dekretów prezydenta, jeżeli takie uprawnienie zostałoby prezydentowi nadane. Sędziowie. Na stanowiska sędziów należałoby powoływać najlepszych, najwybitniejszych prawników. Powołanie na stanowisko sędziego powinno być ukoronowaniem drogi prawniczej. Mam tu swoje doświadczenia i jako sędzia, i jako adwokat. Doskonale pamiętam pierwsze swoje kroki w sądownictwie. Wydawało mi się śmiesznym nieporozumieniem, że przede mną, bardzo młodym człowiekiem, zupełnie niedoświadczonym życiowo, występowali dużo starsi, bardziej doświadczeni adwokaci. Widocznie tak byli do tego przyzwyczajeni, że mimo woli stawali na baczność. Niestety, taką postawę i ja później musiałem przyjmować przed dużo, dużo młodszymi sędzia-

mi. Nie jest to tylko problem kultury, ale również i doświadczenia, a także wiedzy. W sądownictwie najważniejsze jest stanowisko sędziego orzekającego. Ustrój sądownictwa powinien sprzyjać powoływaniu na stanowiska sędziów wybitnych prokuratorów, adwokatów, a nawet wyższych funkcjonariuszy administracji państwowej. Ludzi świetnie przygotowanych zawodowo i życiowo, o nieskazitelną sylwetkę społeczną i moralną. Tacy sędziowie powinni mieć zapewnioną pełną niezawisłość prawną i ekonomiczną. Przy okazji tego tematu chcę powiedzieć, że ja jako sędzia przed wojną nie mogłem należeć do partii czy stronnictwa politycznego. Był to jeden z filarów ówczesnego prawa o niezawisłości sądów. Cieszy mnie, że przepis ten obecnie przywrócono.

- W listopadzie 1982 r. Ośrodek Badawczy Adwokatury zorganizował w Warszawie sesję naukową na temat „Adwokatura polska w latach 1939-1945”. W licznych referatach i wystąpieniach wskazano na olbrzymie zaangażowanie środowiska adwokackiego w walce z okupantem. Środowisko to poniosło olbrzymie straty, największe ze wszystkich zawodów inteligenckich. W sesji tej uczestniczył także Pan mecenas oraz panowie Antoni Pajdak i Stanisław Mierzwa. Kiedy Pan wchodził na salę, adw. Kazimierz Ostrowski z Krakowa przypomniał, że w czasie powstania, jako dowódca radiostacji, otrzymał polecenie zapewnienia Panu bezpiecznego przejścia. Czy Pan przypomniał sobie wówczas to zdarzenie?

- Tego zdarzenia nie byłem w stanie dokładnie odtworzyć, bo podobnych sytuacji było wiele. Natomiast w rozmowie z panem mecenasem Kazimierzem Ostrowskim, którą kontynuowałem również i w tym roku w Krakowie, przypo-

mnieliśmy sobie wiele różnych wątków związanych z naszą działalnością konspiracyjną. Muszę stwierdzić, że bardzo liczni adwokaci działali w bardzo wielu komórkach i agendach od samego początku konspiracji. Z wieloma stykałem się osobiście.

- Czy mógłby Pan, oprócz osób już wymienionych, podać nazwiska adwokatów, z którymi Pan współpracował?

- Dyrektorem Departamentu Sprawiedliwości w Delegaturze Rządu był Feliks Zadrowski, adwokat warszawski od roku 1919. Szefem Kierownictwa Walki Zbrojnej był bardzo sławny w okresie okupacji inny adwokat, Stefan Korboński. Na delegata rządu dla dzielnicy Warszawa-Południe, w pierwszych dniach powstania, powołałem adwokata Edwarda Quiriniego.

- Kiedy powstanie warszawskie chyliło się już ku upadkowi, to wy panowie, jako członkowie Delegatury Rządu, ustaliliście sposób opuszczenia Warszawy, nawiązania kontaktów, reaktywowania działalności itp.

- Oczywiście, tak. Ustaliliśmy, że wychodzimy z cywilną ludnością i wszyscy, łącznie z gen. Okulickim, będziemy się spotykać w miejscowościach podwarszawskich: Milanówku, Grodzisku Maz., Brwinowie, Otrębusach, Komorowie. Każdy z nas po opuszczeniu Warszawy miał obowiązek chodzić do miejscowego kościoła na nabożeństwa, aby nawiązać kontakt z innymi. W ten sposób wszyscy się odnaleźliśmy i rozpoczęliśmy działalność. Istotne trudności organizacyjne miała Armia Krajowa. Gen. Bór-Komorowski, idąc do niewoli, na swojego następcę wyznaczył gen. Okulickiego. Londyn i niektóre obwody AK w kraju nie chciały uznać tej decyzji. Ostatecznie

gen. Okulicki został Komendantem AK. My natomiast - Krajowa Rada Ministrów i Rada Jedności Narodu - spotykaliśmy się dosyć często w mieszkaniach prywatnych, kościołach, klasztorach. W grudniu 1944 r. przez kilka dni gościliśmy, podejmowani bardzo serdecznie, w klasztorze w Piotrkowie Trybunalskim. Było nad czym radzić. Mieliśmy informację o działalności NKWD na terenach zajętych przez Armię Czerwoną. Przewidywaliśmy, że w najbliższych tygodniach armia ta wyzwoli, czy jak niektórzy mówili, zajmie całą Polskę. Po Konferencji w Jałcie władze Polski Podziemnej skapitulowały. Z konieczności wymuszonej siłą postanowiliśmy przyjąć uchwały jałtańskie. Rząd w Londynie uchwały te odrzucił. Na tym tle drogi Podziemnej Polski Walczącej i Rządu w Londynie rozeszły się.

- Niedługo potem doszło do nawiązania kontaktu gen. Okulickiego z Pimionowem, funkcjonariuszem NKWD. Nie mógł to być kontakt przypadkowy.

- Okulicki dostał list od Pimionowa na adres najbardziej utajony, zaszyfrowany. W tym momencie gen. Okulicki zorientował się, że został już rozpracowany. Pokazał nam ten list. Dla nas był to także sygnał, że i my będziemy albo już zostaliśmy rozpracowani. W liście Pimionow proponował spotkanie na szczuble generałów na temat uregulowania wszystkich spornych spraw polsko-rosyjskich. Wszystkich, i to z takim znaczeniem, że jest to może jedyna, ale realna szansa załatwienia tych problemów. Gen. Okulicki odczytał list i zapytał nas, członków Krajowej Rady Ministrów, co my o tym sądzimy. Sam był przeciwnikiem takiego spotkania. Miał już swoje negatywne doświadczenia. Był przez nich aresztowany bodajże w grud-

niu 1939 r. w okolicach Lwowa. Działał już w konspiracji. Siedział w moskiewskiej Łubiance i dopiero po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej oraz ogłoszeniu „amnestii dla Polaków” odzyskał wolność. Osobiście namawiałem gen. Okulickiego do pójścia na spotkanie z Pimionowem i mam z tego powodu do dziś pewne wyrzuty. Podobnego zdania byli i inni członkowie Krajowej Rady Ministrów.

- Ile było spotkań z Pimionowem?

- Najpierw poszedł gen. Okulicki, później delegat Jankowski. W trakcie rozmowy z delegatem ustalono, że z Pimionowem będą rozmawiali przedstawiciele wszystkich stronnictw Rady Jedności Narodowej. Rozmowy te miały przygotować spotkanie reprezentantów Polski Podziemnej z gen. Iwanowem. Pierwsi poszliśmy my, ludowcy, w składzie: Bagiński, Bień, Mierzwa i Wyrzykowski. Zaproszenie doręczył nam Tadeusz Wyrzykowski, działacz ludowy z Ciechanowa. Później, kiedy jako adwokat jeździłem na sprawy do Ciechanowa, pytałem ze dwa, trzy razy Tadeusza Wyrzykowskiego (który był także adwokatem), jak zdobył to zaproszenie, ale nigdy nie uzyskałem konkretnej, zadowalającej odpowiedzi.

- Co było przedmiotem rozmów z Pimionowem?

- Chodziło o doprowadzenie do konferencji z udziałem przedstawicieli Polski Podziemnej i reprezentatywnych przedstawicieli sowieckich władz państwowych. My domagaliśmy się umożliwienia nam wyjazdu do Londynu, by porozumieć się z prezydentem Raczkiewiczem i uzyskać jego zgodę na utworzenie rządu, co przewidywały uchwały jałtańskie. Utworzenie rządu zgodnie z przepi-

sami obowiązującej konstytucji polskiej. Powstała kwestia paszportów, bo Pimionow na wszystko się zgadzał. Miał je przygotować w sztabie Pimionowa wyższej rangi pracownik Delegatury Józef Stemler-Dębński. Ustalono datę spotkania przedstawicieli Delegatury Rządu, Rady Jedności Narodowej, Krajowej Rady Ministrów, stronnictw politycznych i Armii Krajowej z przedstawicielami władz sowieckich na środę 28 czerwca 1945 r. w kwaterze płk Pimionowa.

- Czy szliście na to spotkanie w tak licznym i reprezentatywnym gronie bez oporów, bez obawy? Z jakimi nadziejami?

- Szliśmy, a w każdym razie ja szedłem na to spotkanie i z wewnętrznymi oporami, i z obawą, i z dużą dozą niepewności. Najlepszym dowodem było to, że zanim poszedłem na umówione spotkanie, pozbyłem się kilku dokumentów, które mogły być niebezpieczne. Istniała realna obawa aresztowania. Otrzymaliśmy takie ostrzeżenie. Wielokrotnie zadawano mi pytania i ja sam sobie je zadawałem: dlaczego wobec tego byliśmy tak lekkomyślni, nieprzewidyujący? Myślę, że postępowaliśmy tak dlatego, że mieliśmy świadomość, iż zostaliśmy już rozszyfrowani i ujawnieni i że w tej sytuacji nie można było odmówić, gdyż byłby to argument dla Stalina, że on, Stalin, poszedłby na znaczne ustępstwa, ale Polacy nie chcieli z nim rozmawiać.

- Wiemy z różnych relacji, m.in. Pańskiej, że najpierw mieliście polecieć do Radomia na spotkanie z gen. Iwanowem, a później do Londynu, że już w samolocie dowiedzieliście się, że lecicie do Moskwy na spotkanie ze Stalinem, „bo lepiej rozmawiać z samym Stalinem niż z jakimś Iwanowem”. W Pana wypowiedziach pojawia się nato-

miast interesujący wątek, że nie jest wykluczone, iż do Moskwy w ogóle nie musieliście, czy też nie mieliście dolecieć...

- Dosłownie do Moskwy nie dolecieliśmy. Samolot wylądował ok. 300 km od celu, w okolicach Iwanowo-Wozmiesińskie. Okoliczności związane z końcówką lotu (lotnisko w Moskwie nie chce przyjąć samolotu, brak paliwa), przypadkowe lądowanie w szczyrim polu, zachowanie się pilota i nielicznej obstawy (po prostu uciekli), natchnęły mnie dręczącym przypuszczeniem, że lądowanie nie było zaplanowane, a pilot w obliczu ostatecznych konsekwencji zrozumiał, że mógł być narzędziem okrutnego planu. Obecnie jestem skłonny twierdzić, że w planach sowieckich było uprowadzenie i osadzenie trzech przywódców Polski Podziemnej: wicepremiera Jankowskiego - delegata Rządu, gen. Okulickiego - Komendanta AK, Pużaka - przewodniczącego Rady Jedności Narodowej. Pozostali mogli być wyłapani i osadzeni w Polsce. Wyjazd całej szesnastki przekroczył założenia. A więc lepiej będzie, aby nie dolecieli... Może przyszłe badania archiwalne pozwolą na wyjaśnienie i tych wątpliwości związanych nie tyle z naszym uprowadzeniem, ile lądowaniem w tak szczególnych okolicznościach.

- Panie mecenasie, pomówmy teraz o pobycie Pana w więzieniu na Łubiance, śledztwie i procesie moskiewskim.

- Sam wjazd pozostawił na mnie niezatarte wrażenie. Czarna limuzyna, którą wieźli mnie razem z Kazimierzem Kobylańskim, pędziła prosto na wysoką, czarną, zamkniętą bramę żelazną. Wydawało mi się, że dosłownie w ostatniej sekundzie brama została otwarta i wpadliśmy na rozległe podwórze obudowane wielo-

piętrowymi budynkami. Uprzejmości się skończyły. Pojeliśmy natychmiast, że jesteśmy więźniami. Twarzą do muru, ręce do góry, bardzo ściśle, rygorystyczna rewizja, obmacywanie wszystkiego - odzieży, przedmiotów i ciała. Potem osadzono mnie w celi oznaczonej nr 57.

- Rozpoczęły się z pewnością przesłuchania. Jak one przebiegały, kto Pana przesłuchiwał?

- Byłem przesłuchiwany od końca marca do czerwca 1945 r. Przesłuchiwał mnie ppłk. Sorokin. Tak przynajmniej się przedstawił. On też przesłuchiwał Bagińskiego i Mierzwę. Był więc specjalistą od ludowców. Przesłuchiwania odbywały się przeważnie nocą. Były one poprzedzone torturami - jak określam - psychologicznymi. Stosowano różne sposoby. Jednym z nich było potworne zimno w celi. Miałem własne futro, ale nie mogłem ani go założyć, ani się nim okryć. Więzień miał prawo położyć się w godzinach od 22 do 6 rano oraz w dzień od godz. 14 do 17, ale właśnie w tych godzinach odbywały się przesłuchania lub organizowano jakieś zajęcia. Byłem senny, zmęczony. Dochodziło do tego, że siedząc u śledczego zasypiałem. Zdarzało się, że i on usypiał, bo musiał przecież ze mną przesiedzieć te 8 godzin przeznaczonych na przesłuchanie. Niejednokrotnie obaj nie nadawaliśmy się do żadnej rozmowy. A chce Pan wiedzieć, jak wyglądało spanie, kiedy można było spać? Więzień musiał leżeć na wznak, koc - jeżeli to coś można było nazwać kocem - do połowy piersi, ręce na kocu, twarz zwrócona w kierunku drzwi. Nad drzwiami paliła się przez całą noc lampa, skierowana na twarz więźnia. Pilnujący mnie żołdat tłumaczył, że musi stale widzieć moją twarz i ręce.

- A jeżeli zmieniał Pan pozycję w czasie snu?

- Strażnik natychmiast wchodził i obracał mnie na wznak do opisanej pozycji. Byłem głodny. Dawali wprawdzie codziennie zupę, ale nic w niej nie było oprócz łbów i ogonów śledzi. Jedna kostka cukru na dwie doby. Zmęczony, głodny, niewyspany zasiadałem przed śledczym.

- Czy z tych przesłuchań, rozmów prowadzonych z Panem, były sporządzane protokoły?

- Natychmiast nigdy. Potem otrzymałem zawsze plik protokołów. Po kilka lub kilkanaście. Nie byłem w stanie dokładnie ich przeczytać. Protokołu rozprawy również nie widziałem, nie czytałem.

- A na zakończenie śledztwa nie zapoznano Pana z całością akt?

- Udostępniono mi kilkanaście tomów akt na bardzo krótko. Nie więcej niż na godzinę. Nie miałem ani kartki, ani ołówka. Nie mogłem niczego zanotować. Zorientowałem się jednak, że z akt śledztwa zniknęło to wszystko, co mówiłem na temat walki całego narodu z Niemcami. Starano się uzasadnić tezę, że cała konspiracja polska, określana jako nielegalna, skierowana była nie przeciwko Niemcom, lecz wyłącznie przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

- Czy przesłuchiwał Pana prokurator, czy i kiedy miał Pan z nim kontakt?

- Prokurator nigdy mnie nie przesłuchiwał. Miałem natomiast dwukrotnie kontakt z generalnym prokuratorem wojskowym Armii Czerwonej, N. Afanasjewem.

Pierwszy raz na kilka dni przed rozprawą, a drugi raz w czasie procesu, kiedy oskarżał nas razem z radcą prawnym drugiej klasy, R. Rudzienko.

- Czy ten pierwszy kontakt miał charakter procesowy? Rozumiem, że doszło do niego już po zakończeniu śledztwa.

- Ta wizyta wymaga oddzielnego omówienia, ale muszę ją poprzedzić pewną dygresją. Rosja tamtego czasu, to zupełnie inny świat. Spotykałem się jednocześnie z okrucieństwem, bezwzględnością i uprzejmością przechodzącą w pewną służalczość. Na przesłuchania do półka Sorokina prowadził mnie żołdat pustymi korytarzami. Nikt mnie nie mógł widzieć, ani ja nikogo. Miałem splecione ręce z tyłu. W takiej pozycji wpychał mnie żołdat do pokoju. Śledczy zezwalał mu odejść, i wówczas podchodził do mnie, kłaniał się, podawał rękę i mówił: „Zdrastwujecie. Kak wy siebia czuwstwuujecie?” Pamiętam, że pierwsze pytanie, jakie mi zadał, to było pytanie o imię mojego ojca. Po co Panu jest to potrzebne - pytam zdziwiony. A on - jak będę znał imię pańskiego ojca, to będziemy mogli porozmawiać na zupełnie innej stopie. Będę się do was zwracał „Adamie Walentiewiczu”, jak do dobrego znajomego. I tak zawsze mnie witał, chociaż doskonale wiedział, że siedzę w zimnej celi, głodny.

Z generałem majorem służby sprawiedliwości, N. Afanasjewem, rozmawialiśmy o historii, o kulturze, literaturze. Chwalił się swoją biblioteką. Nie mówiliśmy tylko o tym, dlaczego tu jesteśmy i w jakim charakterze. Ani jednym słowem.

- Miał Pan obrońcę adwokata?

- Miałem. Ppłk Sorokin powiedział mi, że będzie mnie bronił w sądzie z urzędu adwokat J. Braude. Zapewniał mnie, że to bardzo dobry obrońca. Adwokat J. Braude odwiedził mnie na kilka dni przed rozprawą. Zapytałem go, jaką przyjmie dla mnie linię obrony. Interesuje mnie to również z tego względu, że sam jestem prawnikiem, sędzią. Proszę pana, odpowiedział, my adwokaci w Związku Radzieckim mamy taki sposób obrony, którego pan na pewno nie zna i nie przewiduje. Pan pozwoli, że będę pana bronił w taki sposób, jaki uznam za korzystny i konieczny. Już później, w pewnym momencie, zorientowałem się, że chce mnie on bronić kosztem gen. Okulickiego, z którym się zaprzyjaźniłem i którego niezwykle wysoko ceniłem. Od takiego sposobu obrony musiałem się zdecydowanie odciąć. Powiedziałem wtedy, że używa się tu słów i argumentów, których my Polacy nie znamy i z których nie chcemy korzystać. Potem już się do mnie nie odzywał.

- W dniach 18-21 czerwca 1945 r. odbył się w Moskwie, przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRR, proces szesnastu pojmanych Polaków, który przeszedł do historii, jako „proces szesnastu”. Przewodniczył osławiony krwawymi wyrokami gen. płk W. Urlych. Ostatnio w naszej telewizji pokazywany był film z przebiegu tego procesu. Czy mógłby Pan w kilku zdaniach skomentować to wydarzenie.

- Cała rozprawa odbywała się w języku rosyjskim, i w tym języku była protokolowana. Ci spośród nas, którzy nie znali języka rosyjskiego, składali zeznania po polsku. Ta wersja nie była protokolowana. Tłumaczenie, które odbywało się na miejscu, nie oddawało wiernie składanych zeznań. Było przeinaczone,

falszowane. Mogłem to osobiście stwierdzić, ponieważ znam bardzo dobrze w piśmie i w mowie język rosyjski. Przykładowo: Polak zeznał, że jest patriotą. Tłumacz tłumaczył, że jest nacjonalistą. Polak zeznawał, że coś było konspiracyjne, tłumacz tłumaczył to jako bezprawne.

Nie widziałem i nie wiedziałem że przebieg procesu jest nagrywany. Nie było żadnej decyzji sądu. Na sali nie widziałem kamer filmowych, specjalnego oświetlenia, ludzi nakręcających film itp. W odtwarzanym filmie zauważyłem obrazy, które odbiegały od realiów sali sądowej w trakcie naszego procesu. Myśmy siedzieli wszyscy w takiej drewnianej klatce. Były w niej jakby otwory okienne, w których siedzieliśmy. Nie mogliśmy się między sobą porozumiewać. Nie siedzieliśmy obok siebie. Zawsze oddzielali nas siedzący między nami soldaci. Otóż, jeżeli widział pan ten film, to czy zauważył pan tych żołnierzy tak właśnie siedzących? Przy składaniu zeznań nie wychodziliśmy na środek sali. Zeznawaliśmy z tych „okien”. Z tej klatki nie można było wyjść do przodu. Wchodziło się do niej tylko od tyłu. Ja z tej klatki z pewnością w czasie procesu nie wychodziłem. Siedzieliśmy w dwóch lub trzech rzędach. Ja siedziałem w pierwszym rzędzie, a z mojej prawej strony Jankowski. Tuż za Jankowskim, w drugim rzędzie, siedział Okulicki. Obrońcy siedzieli przed nami w pewnej odległości, niżej.

- Czy obrońcy porozumiewali się z Panami w czasie procesu?

- Adwokat Braude nie miał do mnie żadnego interesu. Wśród broniących adwokatów, chyba dwóch było z pochodzenia Polakami. Ci zachowywali się normalnie, jak przystało na adwokatów. Co mogli, mówili na naszą korzyść. Co mo-

gli... Starali się przekazywać pewne dodatkowe informacje. Od nich dowiedzieliśmy się, że w dniach procesu w Moskwie przebywała delegacja z Mikołajczykiem na czele.

- Czy była publiczność na sali sądowej?

- Tłoku nie było. Na sali znajdowali się przeważnie mężczyźni. Nie wykazywali żadnego zainteresowania toczącym się procesem.

- Czy przebywali korespondenci zagraniczni?

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Jak przebiegało postępowanie dowodowe? Czy składali zeznania jacyś świadkowie?

- Tak, byli. Jeden z tych świadków żyje w Krakowie. Mam do niego telefon. Spotykaliśmy się. Było ich około sześciu, byli żołnierzami AK walczącymi na Wileńszczyźnie.

- Czy wiedzieli coś o Pana działalności, o działalności Delegatury Rządu, Komendy Głównej AK itp.

- Nic nie wiedzieli. To byli zwykli, prości żołnierze. Opowiadali o walkach swoich oddziałów. O walkach toczonych z Niemcami, a później o walkach obronnych przed pacyfikacją dokonywaną przez Armię Czerwoną.

- Kiedy został ogłoszony wyrok?

- Postępowanie dowodowe zakończono gdzieś o godz. 22, a wyrok został ogłoszony 21 czerwca 1945 r. około godz. 4 nad ranem.

Skazani zostali:

Leopold Okulicki - na lat dziesięć
Jan Stanisław Jankowski - na lat osiem

Adam Bień - na lat pięć

Stanisław Jasiukowicz - na lat pięć

Kazimierz Pużak - na półtora roku

Kazimierz Bagiński - na rok

Aleksander Zwierzyński - na osiem miesięcy

Stanisław Mierzwa - na cztery miesiące

Józef Chaciński - na cztery miesiące

Zbigniew Stypułkowski - na cztery miesiące

Franciszek Urbański - na cztery miesiące.

Uniewinniono Stanisława Michałowskiego, Kazimierza Kobylańskiego, Józefa Stemler-Dębskiego.

Wyłączono chorego Antoniego Pajdaka, który został skazany w dodatkowym procesie. Również na 5 lat.

Po wyroku natychmiast nas rozdzielono. Wtedy ostatni raz widziałem Okulickiego, ale później jeszcze z nim rozmawiałem. W któryś z ostatnich dni czerwca nad Moskwą przechodziła gwałtowna burza. Pioruny, grad i jakaś luna. Podszedłem do okna. Deszcz stukał po blachach. Zagwizdałem piosenkę „Serce w plecaku”. Jak skończyłem, ktoś odezwał się po polsku: jaka piękna pogoda. Po głosie poznałem, że to Okulicki. Więc pytam, kto mówi. Słyszę w odpowiedzi: „tu kobra, tu kobra”. To był jego pseudonim. Odpowiedziałem wtedy: „tu sędzia”. Przez tydzień rozmawialiśmy przez to okno. Pewnego dnia oświadczył, że mają go gdzieś przenieść. Następnego dnia skończyły się nasze rozmowy.

- W prasie, telewizji pojawiły się pewne wypowiedzi o możliwości przetransportowania do polskich więzień wicepremiera Jankowskiego i gen. Okulickiego i że w tych więzieniach zakończyli oni swoje życie...

- Z Jankowskim w jednej celi siedziałem od początku lipca 1945 do 15 lipca 1949 r. Najpierw - na Łubiance, w celi 63 siedzieliśmy czterech (Jankowski, Jasiukowicz, Pajdak, Bień i ja - cała Krajowa Rada Ministrów). W czerwcu 1946 zabrano od nas chorego Jasiukowicza i Jasiukowicz zaginał bez śladu... W dniu 16 lipca 1946 trzech nas (Jankowski, Pajdak, Bień) na sześć tygodni przeniesiono do moskiewskiego więzienia Lefortowo, które na pewno było miejscem kaźni. Usłyszeliśmy tam między innymi ryk torturowanego człowieka... Pod koniec czerwca 1949 trójkę naszą wywieziono do więzienia we Władimirze...

Z generałem Okulickim (cela 62) rozpoznałem się z całą pewnością w październiku 1946. Codzienna jego długa, hałaśliwa gimnastyka i biegi po całej celi wskazywały, że jest zdrowy i silny. W dniu 24 grudnia 1946, przed południem, drzwi do jego celi otwarto i coś do niego powiedziano. Gdy drzwi te znowu zamknięto, Okulicki nagle pięściami i butami zaczął walić w dzielącą nas ścianę. Zrozumieliśmy więc, że coś groźnego dzieje się w jego życiu... Za chwilę drzwi znowu otwarto, weszły do celi najmniej dwie osoby i z głośnym tupotem wszyscy z celi wyszli. Okulicki na zawsze przestał dla nas istnieć...

Z Jankowskim i Pajdakiem rozstałem się i uroczyście pożegnałem w dniu 15 lipca 1949 w więzieniu na Władimirze, gdy mnie z naszej wspólnej dotąd celi w nieznaną wyprawiano...

Młodszy brat gen. Okulickiego - w roku 1954, u mnie, w Przasnyszu (gdzie wtedy mieszkałem), poszukiwał wieści o losach brata Leopolda. Nic zatem nie wiedział o rzekomej wcześniejszej śmierci Jankowskiego i Okulickiego w Polsce... Plotkę o ich powrocie z Rosji i śmierci w kraju spreparowano niewątpliwie w celu wybielenia roli Rosji. Plotka

sprzeczna jest z wyżej przytoczonymi faktami. Plotkę obalili nawet strona sowiecka, przyznając oficjalnie, że Okulicki zmarł w więzieniu Butyrki w Moskwie 24 grudnia 1946, a Jankowski - w więzieniu we Władimirze w roku 1953.

Plotkę spreparował pewien Redaktor I programu Telewizji Polskiej. Redaktora owego przed dwoma laty publicznie nazwałem fałszerzem historii Polski. Redaktor się nie obraził...

Wicepremier Jan Stanisław Jankowski, Generał Leopold Okulicki i minister Stanisław Jasiukowicz - wysocy przedstawiciele Polski Walczącej, na pewno przepadli gdzieś w niezmierzonej Rosji...

- Czy inni współtowarzysze procesu „szesnastu”, poza Panem i mec. Stypułkowskim, spisali swoje wspomnienia? Chodzi mi w szczególności o pana Mierzwę i pana Pajdaka, z którymi Pan się spotykał?

- Słyszałem, że napisał coś Pajdak, ale nie czytałem. Stypułkowski napisał dwa tomy. On sam przyznaje, że nie miał notatek, pisał z pamięci. Zauważyłem pewne nieścisłości, np. że list od Pimionowa otrzymał Jankowski, a nie Okulicki. Odnoszę wrażenie, że także jego pogląd na temat meritum procesu odbiega od odczuć innych uczestników. Najważniejsze jednak, że te wspomnienia się ukazały. Stanowią przyczynek do historii naszego narodu.

- Na pomniku w Pruszkowie, poświęconym pamięci „szesnastu”, oprócz imion i nazwisk wymienia się zawód. Przy pięciu osobach figuruje zawód - adwokat. Przypomnijmy ich imiona i nazwiska w kolejności alfabetycznej: Adam Bień, Józef Chaciński, Stanisław Mierzwa, Antoni Pajdak, Zbigniew Stypułkowski. Jest to powód

do dumy dla całego środowiska. A tymczasem nad tym środowiskiem zawisła groźba utraty tożsamości, przekreślenia tradycji, odstępstw od zasad wykonywania zawodu. Czy mógłby Pan to skomentować?

- Adwokatura jest wielkim dorobkiem cywilizacji i kultury. Adwokatura polska ma zapisane piękne karty w historii sądownictwa, dziejów państwa i narodu. Jest ona niezbędna do realizacji ważnych zadań stojących przed sądami, jako jedna z niezależnych sił kształtujących państwo. Ma zapewnić ochronę podstawowych praw i wolności obywatelskich. Gwałtowne zmiany i eksperymenty są tu najmniej wskazane.

- Miesiące maj i czerwiec, to miesiące wielkich rocznic i wydarzeń. W tym roku wypada wielka rocznica 200-lecia uchwalenia pierwszej w Europie

Konstytucji. Sejm i Senat pracują nad zarysem przyszłej Konstytucji III Rzeczypospolitej. Toczy się walka o ordynację wyborczą. Mija następna rocznica procesu „szesnastu”. Wydawało mi się, że rozmowa z Panem pozwoli na uczczenie tych rocznic i wydarzeń. Pozwoli na połączenie czasu przeszłego z czasem teraźniejszym, a nawet przyszłym. Serdecznie dziękuję za przyjęcie, za rozmowę i życzę długich lat życia oraz nowych, wspaniałych, napisanych przez Pana książek.

- Dziękuję za życzenia. Chętnie spotkałem się z przedstawicielem środowiska, z którym łączy mnie tyle przeżyć i wspomnień. A co do pisania... Chciałbym jeszcze napisać o II Rzeczypospolitej - mojej wielkiej miłości w życiu osobistym, rodzinnym i zawodowym. Okresie wielkich dokonań społecznych i narodowych.